

## **Intelektualiści a ruch komunistyczny - tekst Dariusza Karłowicza**

Przez długie lata PRL-u związki opozycyjnych intelektualistów ze stalinizmem stanowiły szczególnie ceniony trop partyjnych moralistów i ulubiony oręż bezpieki. Nie trzeba mówić, że nie chodziło o historyczną rzetelność. Strategia była czytelna i, powiedzmy to wyraźnie, nikczemna - oskarżonym nie dawano przecież żadnej szansy publicznej obrony. Szło o moralną i intelektualną dyskwalifikację wielu autorytetów opozycji i o szczególny rodzaj samooczyszczania prowadzonego pod hasłem rzekomej wspólnoty rymsztoka i ideałów ("Wszyscy mamy jakieś grzechy. Jedyne, co nas różni, to ocena sytuacji"). Trudno się dziwić, że uczeni stronili od badań, które na miłą pachniały zleceniem z SB, a spontaniczny (co nie zawsze znaczy rozsądny) odruch kazał piętnować ten rodzaj zainteresowań mianem pornograficznych. Mimo ogromnej wagi samego problemu, niechęć wobec takich analiz była zrozumiała. W pewnych warunkach trudne rozmowy warto odłożyć na później. Niestety odium to trwa do dzisiaj, choć jego przyczyny należą już do historii. Kto po 1989 roku spodziewał się szeregu fundamentalnych publikacji, doznał rozczarowania. Co gorsza, wcale nie zanoszą się na to, żeby historia postaw, ewolucja poglądów i wreszcie rzeczywista rola polskich intelektualistów w stalinowskim państwie stały się w możliwej do przewidzenia przyszłości przedmiotem poważnych badań.

Przez długie lata PRL-u związki opozycyjnych intelektualistów ze stalinizmem stanowiły szczególnie ceniony trop partyjnych moralistów i ulubiony oręż bezpieczeństwa. Nie trzeba mówić, że nie chodziło o historyczną rzetelność. Strategia była czytelna i, powiedzmy to wyraźnie, nikczemna - oskarżonym nie dawano przecież żadnej szansy publicznej obrony. Szło o moralną i intelektualną dyskwalifikację wielu autorytetów opozycji i o szczególny rodzaj samooczyszczania prowadzonego pod hasłem rzekomej wspólnoty rymsztoka i ideałów ("Wszyscy mamy jakieś grzechy. Jedyne, co nas różni, to ocena sytuacji"). Trudno się dziwić, że uczeni stronili od badań, które na miłą pachniały zleceniem z SB, a spontaniczny (co nie zawsze znaczy rozsądny) odruch kazał piętnować ten rodzaj zainteresowań mianem pornograficznych. Mimo ogromnej wagi samego problemu, niechęć wobec takich analiz była zrozumiała. W pewnych warunkach trudne rozmowy warto odłożyć na później. Niestety odium to trwa do dzisiaj, choć jego przyczyny należą już do historii. Kto po 1989 roku spodziewał się szeregu fundamentalnych publikacji, doznał rozczarowania. Co gorsza, wcale nie zanoszą się na to, żeby historia postaw, ewolucja poglądów i wreszcie rzeczywista rola polskich intelektualistów w stalinowskim państwie stały się w możliwej do przewidzenia przyszłości przedmiotem poważnych badań.

### ***Paparazzi?***

Można odnieść wrażenie, że zachowania zrozumiałe w realiach oblężonego miasta zostały przeniesione w czasy pokoju. Logika grupowej lojalności, pisze Ryszard Legutko, w tekście otwierającym numer miesięcznika "Znak", zatytułowanego "Intelektualiści a komunizm" (nr 2/1999), prowadzi do "zmarnowania jednego

z najbardziej interesujących poznawczo doświadczeń zbiorowych". Wiele wskazuje na to, że mamy tu do czynienia z mechanizmem podstawienia. Po abdykacji ubeka do obsadzenia jest, rzecz jasna, tylko rola czarnego charakteru. Tak więc, niewątpliwie bardzo ważny apel Ryszarda Legutki - pisze w tym samym numerze "Znaku" ks. Józef Tischner - należy zaadresować "raczej do tych, którzy w swym zainteresowaniu komunizmem popadają w odziedziczone po komunizmie schematy". "Wypominanie ludziom ich dawnych grzechów" - zaznacza na wstępie swojego artykułu Jerzy Szacki - jest, jak wiadomo, "ulubionym zajęciem bardzo wielu ludzi - niekoniecznie zresztą najbardziej bezgrzesznych, często zaś takich, których główną zasługą jest urodzenie się dostatecznie późno, by nie być wystawionym na pewne polityczne pokusy".

Łatwo zrozumieć ton niechęci wobec intelektualnych paparazzi. Wyważona ocena należy się każdemu, nawet tym, których nie opromienia chwała późniejszych zasług. Jednak założenie, że do bezstronnej analizy i trafnych uogólnień zdolni są tylko ci, którzy byli kuszeni, jest niewątpliwie wadliwe. Pewne jest jedno: klimat sensacji nie towarzyszy rzeczom, które zostały wyjaśnione. Tymczasem, wbrew głośnym deklaracjom, o otwartości nie ma ciągle mowy.

Jej miejsce zajmuje natomiast nowy gatunek politycznej poprawności. Można czasem odnieść wrażenie, że większym skandalem moralnym jest niesprawiedliwa ocena stalinowskich intelektualistów niż aktywne zaangażowanie w budowę komunistycznego systemu. Z tajemniczych względów etykieta "komuniści" nie jest tak kompromitująca jak obelżywe miano "dekomunizatorzy". Nawet niskie pobudki tych pierwszych wydają się ciekawsze i głębsze od pobudek tych drugich, którzy nierzadko zresztą bywają demaskowani jako faktyczni dziedzice

zsowiecizowanej mentalności. Jeśli nawet nie są po prostu miernotami i karierowiczami, to dają się kierować albo mściwością, albo afektowanym moralizmem, a już z pewnością znajdują się w stanie umysłowego oszołomienia. W tej bowiem sprawie śmiało można popisywać się pryncypialnością ocen. W cenie jest składnia pozbawiona urody koniunktywu.

Gwoli zachowania poczucia rzeczywistości warto jednak przypomnieć banalną prawdę. Czy się to komu podoba czy nie, intelektualne oszołomstwo mierzy się w Polsce w "Krońskich" nie w "Rydykach". Złożoną w polskim Ścires miarę najgroźniejszych chorób duchowych XX wieku stanowi właśnie historia zaangażowania intelektualistów w ideologię zbrodniczego przeciw systemu. To wtedy wyznaczono punkt maximum na rodzimej skali fanatyzmu, niszczycielskiego bezrozumu i moralizatorskiej afektacji. Ponieważ zaś idzie o obłąd tak wśród intelektualistów rozpowszechniony, popychający ich do działań niemądrych, obłąd, który dotknął również kilku umysłów wybitnych - to nie tylko warto, ale trzeba wreszcie rozpocząć poważne badania nad jego przyczynami, przebiegiem i konsekwencjami. Tylko solidne badania mogą odebrać chleb paparazzim i definitywnie zamknąć epokę niedomówień.

## **Uogólnienia i ogólniki**

"Znak" to bodaj jedyne miejsce, w którym w poważnej dyskusji spotykają się osoby o tak różnych poglądach, jak Ryszard Legutko, Jerzy Szacki, ks. Józef Tischner, Wojciech Roszkowski, Dariusz Gawin czy abp Józef Życiński. Niestety, dyskusja w "Znaku" podziela istotną słabość toczonej w Polsce debaty. To bodaj jedyny spór dotyczący wydarzeń

historycznych, w którym dość konsekwentnie stroni się od empirii. Dotyczy to zarówno tych, którzy - jak abp Życiński - stanowczo przeciwstawiają się "banalizacji zła", jak i tych, którzy - jak ks. Józef Tischner - skłonni są osnowę powojennej tragedii określić mianem "konfliktów między złudzeniami". Niepisane prawo głosi, że w tej sprawie do faktów odwołują się głównie oszołomy. Dlatego w publikowanych na łamach miesięcznika tekstach znajdziemy bardzo niewiele wydarzeń, cytatów, liczb czy dat. Jest to w istocie dość szczególne, jeśli pamiętać, że dyskusję toczą rzetelni znawcy naukowego warsztatu, a jej przedmiot nie leży poza obszarem czasu i przestrzeni.

Niestety, w wielu przypadkach więc dyskusja porusza się w zaklętym kręgu niemożliwych do zweryfikowania ogólników. Gdy Jerzy Szacki różnicuje typy zaangażowania, pokpiwając z tezy, że "w ciemnej nocy imperium zła" wszystkie koty były tak samo czarne", czytelnicy na próżno będą czekać na ujawnienie podstaw proponowanych rozróżnień, i to zarówno jakościowych, jak i, o dziwo, ilościowych. Choć tezy sugerują odniesienie do znanych powszechnie wydarzeń, do oczywistości, których nie warto nawet przypominać, to obawiam się, że jedną z istotnych przyczyn tego tonu jest wąta i nieusystematyzowana baza przedstawianych twierdzeń. Ucieczka od faktów dobrze służy projektowaniu własnych wyobrażeń, źle - poważnej debacie. Bez solidnej bazy empirycznej trudno o solidne uogólnienia, a stawiane tezy są po prostu niemożliwe do zweryfikowania. Nie sposób pisać o problemie "intelektualiści a faszyzm", omijając nazwiska Heideggera czy Schmitta, nie zająknąć się ani słowem o tym, co napisali, co i gdzie ogłosili, czy protestowali przeciwko szoah, jaki był ich związek z NSDAP. Tak i w tej sprawie trudno uciec od nazwisk, przemilczeć treść i polityczny kontekst publikacji, przebieg karier, nie zadać pytania o stosunek do ZSRR, niepodległości, walki z Kościołem, zbrodni

sądowych, pokazowych procesów, aresztowań i tortur. Próba zignorowania tej oczywistości prowadzi musi do skutków tak dziwacznych jak ten, iż w dyskusji o komunistycznym zaangażowaniu intelektualistów złożoność powojennych wyborów ilustruje przykład Józefa Kurasia "Ognia", który z komunistami walczył do 1947 roku.

Wbrew temu, co pisze w swoim artykule Jerzy Szacki, upieram się, że ciągle wiemy na ten temat niezwykle mało, a obraz - choć jeszcze niepełny, jest już zmitologizowany. Przyczyny są dwie: brak solidnych opracowań i ciągle nie dość dobra znajomość faktów. To drugie dobrze uświadomił opublikowany przez Czesława Miłosza tom powojennej korespondencji z czołowymi intelektualistami w kraju. Trudno się dziwić, że książka wywołała tak duży rezonans. Nie chodzi nawet o to, że korespondencja bezlitośnie odsłania motywy postępowania nierzadko o wiele mniej subtelne niż urzeczenie poglądami Hegła. Chodzi o coś więcej - o poglądy. Miłosz przekroczył pewne tabu - ujawnił język prywatny, którym mówi się między swymi, język poddany dużo mniejszym rygorom samokontroli. Listy mówią nam znacznie więcej o wizji celów i dopuszczalnych środków niż starannie redagowane wypowiedzi oficjalne. Najbardziej uderzającym przykładem pozostanie korespondencja z Tadeuszem Krońskim, filozofem, którego wpływów intelektualnych nie sposób przecenić. Nawet dla powątpiewających w realizm subtelnego portretu, który w 1958 roku wyszedł spod pióra Leszka Kołakowskiego ("wszyscy w jakiejś mierze stawaliśmy się krońskistami"), lektura listów stanowić musiała głęboki wstrząs. Moralny patos lewicowo-oświeceniowej tradycji błędnie wobec sposobu, w który filozof zamierza przeorać romantyczne umysły rodaków. "My sowieckimi kolbami nauczymy ludzi w tym kraju myśleć racjonalnie bez alienacji" - zapewnia poetę w liście

napisanym z Paryża 7 grudnia 1948 roku, liście, do którego będzie się musiał odnieść każdy, kto zechce pisać intelektualną historię powojennej Polski.

Czy trzeba wyjaśniać powody zdumienia, które wywołała publikacja tego nieznanego wcześniej dokumentu (w ostatnim numerze miesięcznika "Res Publica Nowa" (nr 1, 2/1999) przywołuje go aż trzech autorów!). Czy poruszenie nie wynika z faktu, że w najnowszej historii polskiego rozumu, i to zdaniem wielu rozumu pisanego przez duże "R", musimy znaleźć miejsce nie tylko dla języka przemocy, ale dla języka zdrady? Nie wolno chyba zbagatelizować pytania, czy mamy do czynienia z integralnym elementem "krońskizmu" czy też jego aspektem akcydentalnym. Mimo bowiem iż ranga pisarskich dokonań filozofa wydaje się niewielka, to skala jego oddziaływania każe postawić mu te same pytania, które wielokrotnie zadawano dziełu intelektualistów związanych z narodowym socjalizmem. Czy to nie dziwne, że w Polsce z takim zapałem dyskutuje się książkę Victora Fariasa Heidegger a narodowy socjalizm, a samo powstanie książki Kroński i komunizm nie wydaje się prawdopodobne?

### **Problem odpowiedzialności**

Nacisk na analizę faktów wydaje się istotny również w trudnej kwestii odpowiedzialności intelektualistów. Idąc za argumentacją Leszka Kołakowskiego (patrz esej Intelektualiści, napisany w 1979 roku), dyskusję na ten temat przyjęło się uważać za niekonkluzywną. "Za co i dlaczego - pytał Kołakowski - intelektualiści mieliby być odpowiedzialni w jakimś szczególnym sensie i inaczej niż inni ludzie?". Wszak ludzie, których jedyna przewaga polega na sprawności

w posługiwaniu się pojęciami, nie są z tego tylko powodu nieomylni. Jedyną szczególną formą odpowiedzialności jest zatem odpowiedzialność za dobry użytek ze słowa oraz, nie tyle nawet za prawdę słów, co za "ducha prawdy", który obdarza nieufnością wobec własnych poglądów i wyposaża w zdolność wycofania się z błędów.

Jeśli argumentację tę uznać za dowód, to oczywiście jest to dowód pozorny - polega bowiem na dowodzeniu tezy założonej. Jeśli przyjąć taką definicję intelektualisty, która nie zawiera żadnej odpowiedzialności za prawdę, to, rzecz jasna, nie można go - jako intelektualisty właśnie - winić za jakikolwiek fałszywy wybór. Powie ktoś, że jest to powszechna dzisiaj definicja, i nikt - wliczając w to zainteresowanych - nie wyobraża sobie intelektualisty na podobieństwo stoickiego mędrca. Zgoda. Oznacza to jednak konieczność przyjęcia przykrej konsekwencji. Brak odpowiedzialności skutkuje nie tylko brakiem winy, lecz również zasług. Autorytet mędrca wyrasta bowiem z odwagi wzięcia odpowiedzialności za prawdę, wymaga więc zgody na fakt, że za błąd płaci się kompromitacją. Choć oczywiście przyjemnie byłoby brać odpowiedzialność za dobre wybory, a nie brać ich za złe, to jednak obawiam się, że wśród znanych moralistów tylko Sienkiewiczowski Kali bez zastrzeżeń zgodziłby się na takie postawienie sprawy.

Rzecz jasna, perspektywa, w której intelektualisci zobowiązani są do, wyższej niż inni, odpowiedzialności wyłącznie za dobre intencje i umiejętność wycofania się z błędów, ma sens tylko wówczas, gdy przyjąć - jak czyni to Kołakowski - że są to tylko "bezsilni producenci słowa". A tu trudno o zgodę. Co prawda, nikt nie posiada władzy

wprowadzania swoich myśli w czyn tylko dlatego, że jest intelektualistą. Pamiętać jednak należy przynajmniej o dwóch sprawach.

Po pierwsze, intelektualiści powinni liczyć się z tym, że ich pomysły miewają praktyczne skutki. Widać to, gdy mowa o odpowiedzialności za teorie, które zakładają użycie przemocy. Zdarzało się, że słowa filozofów i pisarzy inspirowały, a potem tworzyły moralne alibi wielkich, zorganizowanych zbrodni. Jak wiemy, przemoc "uzasadniona" bywa o wiele skuteczniejsza od przemocy nagiej. W Polsce żyje jeszcze sporo ludzi, którym, przy aprobacie myślicieli działających w pełnej zgodzie z "duchem prawdy", różne rzeczy próbowano wybić z głów sowieckimi kolbami. Dlatego nawet jeśli tylko czasem opinie intelektualistów miewają konsekwencje poważniejsze niż mniemania ludzi innych stanów, o całej sprawie warto myśleć nieco poważniej.

Po drugie, zdarzają się sytuacje, w jakich społeczna czy polityczna rola, którą intelektualiści odgrywają ze względu na przypisywane im umiejętności, faktycznie zwiększa moc sprawczą ich słowa. Wbrew pozorom, nie dotyczy to tylko, jak chce Kołakowski, filozofów na dworze oświeconego despoty. Rzecz w tym, że kwestia odpowiedzialności nie da się oddzielić od wnikliwej analizy roli, którą polscy intelektualiści odgrywali w systemie stalinowskim. Istotne jest nie tylko to, co pisano, ale w jakich okolicznościach, w jakim celu i z jakim skutkiem. Tymczasem istnieje skłonność do tego, by dyskurs o odpowiedzialności prowadzić tak, jakby w Polsce nie istniał aparat represji, a władza nie określała zarówno swoich ogólnych oczekiwań, jak i konkretnych potrzeb związanych z doraźnymi okolicznościami. Tak się jednak składa, że uniwersytety nie wisiły w międzygalaktycznej przestrzeni, a intelektualne potyczki ze złą filozofią, wrogami ludu czy ciemnotą kleru - mówiąc najostrożniej - odbywały się w tym samym czasie co działania policji, prokuratury

i sądów. Pisanie - źle, nawet "w duchu prawdy", o kimś, kto jest przedmiotem prześladowań, tworzy radykalnie odmienną sytuację od krytyki osób niczym niezagrażonych. Dlatego jeśli nie chcemy prowadzić niekonkluzywnego sporu o odpowiedzialności "intelektualistów jako takich", to możliwość pisania o faktach musi odzyskać należne mu prawo obywatelstwa.

Rodzi się pytanie o rzeczywiste źródło milczenia wokół polskiej zdrady klerków. Pierwsza odpowiedź wskazuje na tabu towarzyskie. Wprawdzie jest to zachowanie nieracjonalne jeśli uznać, że mistrzów poza nazwiskiem nic już nie łączy z ponurą przeszłością - jednak mieści się w logice każdego, nie tylko polskiego, salonu. Gorzej, jeśli rację ma Dariusz Gawin, który w zakończeniu swojego eseju w lutowym numerze "Znaku" pisze: "Lewicowi intelektualiści nie są zatem skłonni do przemyślenia swego zaangażowania w komunizm nie tylko dlatego, że czują rodzaj skrępowania wobec błędów młodości [...] powodem jest także to, że musieliby poddać krytycznej analizie wiele z tych wątków swego myślenia, które do dzisiaj stanowią o ich ideowej tożsamości". Odpowiedź na tę wątpliwość śmiało można uznać za jedno z ważniejszych zadań życia intelektualnego w Polsce.

Dariusz Karłowicz

"W obronie zdrowego rozsądku", red. Tomasz Merta, Marek A. Cichocki, OMP 2000.